

JAK DALEKO SIĘ POSUNIESZ,
BY DAĆ UKOCHANEJ OSOBIE
KILKA GODZIN SZCZĘŚCIA?



DYLEMAT

B.A. PARIS

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DILEMMA

Copyright © B.A. Paris 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2020

Redakcja: Joanna Popiołek

Zdjęcie na okładce: © Maria Heyens/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niedziela, 9 czerwca

Godzina 3.30

Livia

Budzę się nagle w stygnącej kąpiel. Zdezorientowana szybko siadam, rozchlapując pianę, i zastanawiam się, jak długo spałam. Wyjmuję korek z wanny, woda bulgocze, znikając w odpływie – brzmi to zbyt głośno w cichym domu.

Kiedy się wycieram, dostaję gęsiej skórki. Coś mi się przypomina. Obudził mnie jakiś odgłos, warkot motocykla na ulicy. Nieruchomieję z rozciągniętym za plecami ręcznikiem. To chyba nie był Adam? O tej porze, w nocy, nie wsiadłby przecież na motocykl.

Owijam się w ręcznik, idę do sypialni i wyglądam przez okno. Serce wali mi w piersi z poczucia winy, ale się uspokaja, gdy za namiotem widzę żółtą poświatę padającą z szopy. Jest więc tutaj, nie pojechał wyrównać rachunków. Chciałabym zejść i sprawdzić, czy ma się dobrze, ale coś, może szósty zmysł, podpowiada mi, żebym się z tym wstrzymała, że Adam przyjdzie, kiedy będzie gotowy. Na chwilę ogarnia mnie lęk, jakbym patrzyła w przepaść. Ale uczucie to budzi po prostu ciemny pusty ogród.

Odchodzę od okna i kładę się na łóżku. Poczekam jeszcze dziesięć minut i jeśli do tego czasu Adam nie wróci, zejdę do niego.

Adam

Pędzę pustymi ulicami, plosząc grzebiącego w śmietniku kota. Biorę zakręt zbyt ostrym łukiem i ryk silnika niesie się w martwej ciszy. Przede mną rysuje się wjazd na M4. Dodaję gazu i wyprzedzając jakiś wlokący się samochód, z warkotem wjeżdżam na autostradę. Gdy jeszcze przyspieszam, motocykl przemieszcza się pode mną.

Powiew wiatru na twarzy działa odurzająco i muszę zwalczyć dojmującą potrzebę, żeby puścić kierownicę i polecieć na spotkanie śmierci. Czy to nie straszne, że Livia i Josh nie są dla mnie wystarczającym powodem, aby chcieć żyć? Do tortury, jaką było ostatnich czternaście godzin, dochodzą wyrzuty sumienia, a zimna wściekłość wzmaga ryk silnika, gdy tak mknę autostradą, dążąc do samozniszczenia.

Wtedy w lusterku wstecznym załzawionymi oczami dostrzegam samochód, który ściga mnie autostradą, błyskając niebieskim światłem, i ryk gniewu, jaki wydaję, staje się wyrazem frustracji. Zwiększam prędkość do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wiem, że mogę jechać jeszcze szybciej, bo już nic mnie nie zatrzyma. Jednak wóz policyjny wkrótce mnie dogania, szybko zmienia pas na zewnętrzny i zrównuje się ze mną. Kątem oka widzę, że policjant na fotelu dla pasażera

żywo gestykuluje.

Jeszcze przyspieszam, ale wóz policyjny wrywa do przodu, a potem zjeżdża przede mną na mój pas, blokując mi drogę. Zamierzam go wyprzedzić, wcisnąć gaz do dechy, coś mnie jednak powstrzymuje, a tamten stopniowo zwalnia i muszę się zatrzymać. Nie wiem, dlaczego to robię. Może nie chcę, żeby Livia miała więcej problemów na głowie. A może usłyszałem błagalny głos Marnie: „Nie, tato, nie!”. Przysięgam, że przez chwilę czułem jej ręce obejmujące mnie w pasie, jej głowę przyciśniętą do mojego karku.

Drżą mi ręce i nogi, gdy wyhamowuję za wozem policyjnym i gaszę silnik. Z samochodu wysiada dwoje funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna podchodzi do mnie.

– Chce się pan zabić czy co?! – wrzeszczy, wciskając czapkę na głowę.

Zbliża się także kobieta, która siedziała za kierownicą.

– Niech pan odejdzie od motocykla! – nakazuje ostro. – Czy pan mnie słyszy? Proszę się od niego odsunąć.

Próbuję zdjąć ręce z kierownicy, dźwignąć się z siedzenia. Ale mam wrażenie, że jestem z nim zespawany.

– Jeśli pan nie posłucha, będziemy musieli pana aresztować.

– I tak go zatrzymamy – mówi mężczyzna. Robi krok w moją stronę i na widok kajdanek, które ma przy pasku, odzyskuje mowę.

Zdejmuję kask.

– Chwileczkę!

Coś musi być w moim głosie, a może w wyrazie twarzy, bo oboje przystają.

– Słuchamy.

- Chodzi o Marnie.
- Marnie?
- Tak.
- Kto to jest Marnie?
- To moja córka. – Z trudem przełykam ślinę. – Marnie to moja córka.

Wymieniają spojrzenia.

- Gdzie ona jest, proszę pana?

Dzień wcześniej, sobota, 8 czerwca
Godzina 8.00–9.00

Adam

Livia obok mnie śpi. Wstaję z łóżka i cicho przeciągam się w ciepłym powietrzu, które wpada przez otwarte okno. Tłumię ziewnięcie i spoglądam na niebo: ani jednej deszczowej chmury w zasięgu wzroku. Liv się ucieszy. Pogoda to jedyna rzecz, na którą nie ma wpływu, gdy przygotowuje swoje wieczorne przyjęcie. Planuje wszystko od miesiący, chce, żeby było idealnie. Jednak nieustanny deszcz, który lał przez ostatnie weekendy, już zaczął działać jej na nerwy.

Spoglądam na jej miarowo wznoszącą się i opadającą pierś, lekko drgające powieki. Wydaje się taka spokojna, że postanawiam jej nie budzić, dopóki nie zaparzę kawy. Biorę ubranie, które miałem na sobie poprzedniego wieczoru. Wkładam dzinsy i wciągam przez głowę koszulkę.

Kiedy idę na dół do kuchni, skrzypią schody i Murphy, nasz owczarek australijski maści czekoladowy marmurek, podnosi głowę – leży w swoim koszu przy piecyku na drewno. Przykucam przy nim na chwilę, pytam, jak się ma i czy dobrze mu się spało, i sam wyznaję, że mnie nie za bardzo, bo miałem koszmarny sen. Liże mnie ze współczuciem, a potem opuszcza głowę, gotowy przespać cały dzień. Ma już piętnaście lat i nie

jest taki żywotny jak kiedyś, ale to dobrze, bo ja też powoli tracę energię. Uwielbia codzienne spacerować, jednak czasy, kiedy wybieraliśmy się na długie wyprawy, należą do przeszłości.

Mimi, ruda pręgowana kotka Marnie, zachowująca się, jakby była w pełni rodowodowa i w ogóle ho, ho, wstaje, podchodzi i ociera się o moje nogi, żeby przypomnieć mi o sobie. Karmię ją, a potem nalewam wody do czajnika. Włączam go i chwilę później w ciszy rozlega się bulgotanie wrzątku. Wyglądam przez okno i widzę duży biały namiot, przyczajony na trawniku jak złowrogie zwierzę, gotowe skoczyć na taras i połknąć dom. Przypominam sobie koszmar, który mnie obudził. Śniło mi się, że namiot zwało. Już pamiętam – stałem na trawniku z Joshem i Marnie, gdy wzmógł się wiatr, delikatny szelest drzew zamienił się w złowieszczy szum, a następnie ogłuszający ryk, i zrywane z gałęzi liście zaczęły wirować w powietrzu, ciągnąc za sobą lampki.

„Namiot!” – zawołał Josh, gdy wichura obróciła swoją złość przeciwko ogrodowi. Ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, Marnie ze snu podbiegła i chwyciła namiot za jedną z pałatek.

„Marnie, puść go!” – wykrzyknąłem. Ale wiatr porwał moje słowa i ich nie usłyszała. A namiot niósł ją do nieba, aż zniknęła nam z oczu.

Livia będzie się śmiać, kiedy jej to opowiem – okazuje się, że nie ona jedna denerwuje się przed przyjęciem. Niespokojnie odchodzę od okna i znowu się przeciągam. Kiedy podnoszę rękę nad głowę, czubkami palców muskam sufit naszego starego domku. Nie wiem, kiedy Josh mnie przerósł, ale jest już w stanie przyłożyć do sufitu całe dłonie.

Plecak leży tam, gdzie go zostawiłem, rzucony na koniec

stołu razem z dwiema plastikowymi torbami. Zestawiam je na podłogę i obrzucam stół krytycznym spojrzeniem. To jedno z moich pierwszych dzieł, prosty mebel z polakierowanego drewna sosnowego, który próbowałem odmienić poprzez wzmocnienie nóg elementami konstrukcyjnymi w kształcie mostów – miało to być nawiązanie do mojego dawnego marzenia, żeby zostać inżynierem budownictwa wodnego i lądowego. Początkowo Livii nie podobał się brak przestrzeni pod blatem. Teraz bardzo lubi siedzieć na wyściełanej ławie ze stopami na jednej z belek, oparta swobodnie o ścianę.

Czajnik się wyłącza. Nalewam wrzątku do kawiarki, zostawiam ją, żeby kawa się zaparzyła, i przekręcam klucz w drzwiach do ogrodu. Hałas płoszy kosa, który siedzi na pobliskim krzaku. Ptak panicznie trzepocze skrzydłami i kiedy patrzę, jak wlatuje w niebo, przypomina mi się, że Marnie jest już w drodze do domu.

Uśmiechnięty na myśl, że wkrótce znowu ją zobaczę, bo dziewięć miesięcy, które upłynęły od jej wyjazdu, to dużo czasu, przechodzę przez taras i pokonuję pięć stromych stopni, z przyjemnością czując pod stopami twardy kamień, a potem – kiedy przecinam trawnik – zroszoną trawę. W porannym powietrzu unosi się zapach wilgotnej słomy, którego źródła nie potrafię zlokalizować, ma chyba coś wspólnego z różami Livii. Rosną po prawej stronie ogrodu, pod drewnianym ogrodzeniem, tworząc dużą rabatę, i gdy je mijam, czuję piękną woń Sweet Juliet. A może to Lady Emma Hamilton. Nigdy nie pamiętam, jaka to odmiana, choć Livia często mi mówi.

Obchodzę namiot, sprawdzam, czy jest właściwie umocowany, w razie gdyby mój koszmarny sen miał być proroczy, i widzę, że rozbili go daleko, tak daleko, że niemal

przylega do mojej szopy i aby się do niej dostać, muszę się obok niego przeciskać. Wiem, dlaczego tak zrobili; musieli zostawić miejsce na stoły i krzesła, które będą ustawione przed nim. Jeśli można żywić do namiotu niechęć, to właśnie w tej chwili ją czuję.

Przysiadam na niskim kamiennym murku, który otacza trawnik z drugiej strony, naprzeciwko drewnianego ogrodzenia, i usiłuję sobie wyobrazić, jak ogród będzie wyglądał wieczorem, z setką kręcących się po nim gości, lampkami rozciągniętymi na gałęziach jabłoni i wiśni oraz rozwieszonymi wszędzie balonami. Zawsze wiedziałem, że Livia zechce urządzać na swoje czterdzieste urodziny wielkie przyjęcie, jednak nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie, dopóki przed kilkoma miesiącami nie zaczęła rozprawiać o firmach cateringowych, namiotach i szampanie. Wydało mi się to tak nedorzeczne, że zareagowałem śmiechem.

– Wcale nie żartuję, Adamie! – odpowiedziała z urazą. – Zależy mi, żeby to było pamiętne wydarzenie.

– Wiem, i takie będzie. Tyle że pociągnie za sobą zbyt duże koszty.

– Proszę, nie zepsuj wszystkiego, zanim jeszcze cokolwiek zaplanuję – odparła błagalnie. – Pieniądże nie są takie ważne.

– Są, Liv – sprzeciwiłem się, żałując, że muszę to zrobić. – Josh latem wyjeżdża, a Marnie jest w Hongkongu i musimy przez jakiś czas uważać na wydatki. Masz tego świadomość.

Popatrzyła na mnie. Znałem to jej spojrzenie. Pełne wyrzutu.

– No co? – zapytałem.

– Zaoszczędziłam pewną sumę – wyznała. – Na przyjęcie. Od lat odkładam na nie pieniądze, niedużo, po trochu każdego

miesiąca. Przepraszam, powinnam ci była powiedzieć.

– Nic się nie stało – odparłem. Zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedziała mi dlatego, że wtedy wydałem wszystkie jej oszczędności na motocykl. Choć to zdarzyło się przed wieloma laty, jeszcze zanim urodziła się Marnie, wciąż wzdrygam się na samo wspomnienie.

Na myśl o Marnie coś mi się przypomina. Wracam do domu, przestępując nad Mimi, która zawsze płacze mi się pod nogami, i odnajduję telefon tam, gdzie go zostawiłem, żeby się naładował, obok pojemnika na chleb. Tak jak liczyłem, dostałem od niej wiadomość.

„Tato, nie uwierzysz – mój lot jest opóźniony, więc nie zdążę na przesiadkę w Kairze. To znaczy, że przylecę do Amsterdamu za późno, aby złapać samolot do Londynu. Fatalnie, ale się nie martw, jakoś dotrę. Może znajdą mi bezpośrednie połączenie i będę na miejscu wcześniej, niż sądziliśmy! Wyślę esemesa, gdy wyląduję na Heathrow. Kocham Cię xxx”.

Cholera. Uwielbiam optymizm mojej córki, ale wątpię, żeby znaleźli dla niej bezpośredni lot do Londynu. Pewnie każą jej czekać w Kairze na najbliższy samolot do Amsterdamu. Nie po raz pierwszy zachodzę w głowę, dlaczego się zgodziłem, żeby leciała z tyloma przesiadkami.

Livia, planując swoje przyjęcie, nie wyobrażała sobie, że Marnie mogłoby na nim nie być. Zналиśmy jego datę, więc gdy tylko nasza córka się upewniła, że następnego roku będzie studiować w Hongkongu, od razu sprawdziła, kiedy wypadają egzaminy. Potem jednak terminy uległy zmianie.

– Egzaminy mam trzeciego, czwartego i piątego czerwca, a potem jeszcze trzynastego i czternastego – powiedziała z rumieńcami frustracji, gdy w styczniu skomunikowała się z

nami na FaceTimie. – Nie mieści mi się w głowie, że nie będę na imprezie.

– A jeśli przesunę ją na piętnastego? – zapytała Livia.

– Też nie zdążę, ze względu na różnicę czasu.

– A na dwudziestego drugiego?

– Nie, bo wtedy nie byłoby z kolei Josha. Tego dnia wyjeżdża do Nowego Jorku, nie pamiętasz? Wybrał tę datę właśnie z powodu twojego przyjęcia. Kupił już bilet, więc nie może go wymienić. Naprawdę mi przykro, mamó, chciałabym coś na to poradzić. Ale nie ma takiej możliwości.

Przez wiele godzin próbowaliśmy znaleźć jakieś wyjście i w końcu musieliśmy pogodzić się z tym, że Marnie nie będzie na przyjęciu. Był to dla Livii wielki cios. Zamierzała odwołać imprezę i z zaoszczędzonych pieniędzy kupić bilety na lot do Hongkongu, żeby tam świętować urodziny. Ale Marnie nie chciała o tym słyszeć.

– Nie pozwolę, żebyś zrezygnowała ze swojego wymarzonego przyjęcia, mamó. Josh nie mógłby przylecieć, bo ma egzaminy semestralne. Muszę się uczyć, więc i tak nie miałabym dla was wiele czasu. A tata jest zbyt zajęty, żeby wziąć więcej niż tydzień urlopu. A przy takiej cenie biletów lotniczych nie warto, żebyście przyjechali na mniej niż dziesięć dni.

Potem, przed trzema tygodniami, przysłała mi wiadomość: „Tato, co kupiesz mamie na urodziny?”.

„Pierścionek – odpisałem. – Z brylantami. Tylko jej nie mów, bo to ma być niespodzianka”.

„Chciałbyś sprawić jej jeszcze jedną?”

„Jaką?”

„Możemy pogadać na FaceTimie? Czy mama jest w

pobliżu?”

„Nie, wyszła, chce kupić sukienkę na przyjęcie”.

„O, to dobrze, mam nadzieję, że znajdzie coś ładnego. A skoro mowa o przyjęciu...”

Zaraz potem zadzwonił mój telefon i powiedziała mi o połączeniu, które wyszukała: z Hongkongu do Kairu, z Kairu do Amsterdamu i z Amsterdamu do Londynu.

– Wszystko przemyślałam. Jeśli wyleciałabym tuż po egzaminie w czwartek, w sobotę wieczorem dotarłabym do Londynu i byłabym w domu około dziewiętej. Co o tym sądzisz, tato? Sprawilibyśmy mamie dodatkową niespodziankę.

Siedziała na białym fotelu biurowym w pokoju studenckim, który dzieliła z Nadią, współlokatorką z Rumunii, i widziałem za nią zabraną z domu kołdrę, leżącą w dużej części na podłodze. Miała na sobie jeden z moich starych T-shirtów, a włosy w kolorze mahoniu zwinęła na czubku głowy, przytrzymując je, jak się domyślałem, zwykłym ołówkiem. Sposób, w jaki to robiła, zawsze mnie zdumiewał.

– Byłaby zachwycona – odpowiedziałem. Wziąłem Mimi na kolana, żeby się widziały. – A kiedy byś od nas wyjechała?

Marnie skłoniła głowę w stronę ekranu komputera, żeby zwrócić się pieszczotliwie do kotki i przesłać jej całusa.

– Dopiero w środę, więc spędziłabym z wami prawie całe cztery dni. Nie musiałabym lecieć przez Amsterdam, co znaczy, że wróciłabym do Hongkongu akurat na czwartkowy egzamin.

– To dużo podróżowania, żeby pobyc tu tylko kilka dni – zwróciłem jej uwagę, marszcząc czoło.

– Biznesmeni stale tak robią – sprzeciwiła się. Podczas naszej rozmowy co jakiś czas opuszczała wzrok, chyba na

telefon komórkowy leżący na blacie, aby sprawdzić, czy nie przyszły jakieś wiadomości. U niej był późny wieczór i nagle z dziwnym uczuciem uświadomiłem sobie, że prowadzi w Hongkongu życie, o którym Liv i ja nie mamy bladego pojęcia.

– A sprawdziłaś, czy są jakieś bezpośrednie połączenia? – zapytałem.

– Tak, ale bilety kosztują fortunę. Cena tego, przez Kair i Amsterdam, wynosi sześćset pięćdziesiąt funtów. Mam połowę tej sumy. Jeśli pożyczylbyś mi resztę, oddałabym ci, gdy tylko bym mogła.

– Nie chcę, żebyś w ogóle płaciła za tę podróż. To będzie część mojego prezentu dla twojej mamy.

Posłała mi jeden z tych swoich szerokich uśmiechów i pociągnęła za złoty łańcuszek, który miała na szyi. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Dzięki, tato, jesteś kochany! To co, mam zabukować ten bilet, zanim cena wzrośnie?

Musiałem stoczyć wewnętrzną walkę, naprawdę. Pragnąłem odpowiedzieć, żeby zarezerwowała bezpośredni lot, co pozwoliłoby jej uniknąć kłopotów związanych z dwiema przesiadkami. Ale właśnie kazałem Joshowi zabukować połączenie do Nowego Jorku z przesiadką w Amsterdamie, nie tylko dlatego, że było tańsze niż bezpośrednie, ale także po to, żeby chłopak nie miał za łatwo. Nie mogłem uzasadnić wydania kilkuset funtów więcej na Marnie w sytuacji, gdy odmówiłem wyłożenia stu pięćdziesięciu dodatkowych na Josha. Zresztą czy było warto, żeby przyjeżdżała do domu na przyjęcie, skoro musiałyby wyjechać zaledwie cztery dni później? Spojrzałem na jej ładną twarz, oświetloną lampą biurową, która stała przy komputerze, i wszelkie gnębiące mnie wątpliwości uleciały.

Po pierwsze, była bardzo podobna do matki, a po drugie, wiedziałem, jak bardzo ucieszyłyby się Liv, gdyby Marnie niespodziewanie zjawiała się na przyjęciu.

– Pod jednym warunkiem – odparłem, czując na sobie nieporuszone spojrzenie zielonych oczu Mimi. – Nie powiesz o swoim przylocie nikomu... Joshowi, Cleo ani żadnemu z pozostałych przyjaciół, a już zwłaszcza cioci Izzy... To będzie niespodzianka dla wszystkich.

– Nie puszczę pary z ust, obiecuję. Dzięki, tato, mówiłam ci już, że jesteś kochany?

Na Livę czekało tego dnia kilka niespodzianek, ale przyjazd Marnie na przyjęcie miał być największą z nich.

Livia

Budzi mnie skrzypnięcie schodów. Sięgam ręką obok, ale druga połowa łóżka jest pusta.

– Adamie?! – wołam cicho, na wypadek gdyby był w łazience.

Nie słyszę jednak odpowiedzi, więc przyciągnięta ciepłem miejsca, w którym leżał, przetaczam się na nie i z głową na jego poduszce kładę się na boku. Odruchowo dotykam brzucha, sprawdzam, czy jest płaski, i z zadowoleniem stwierdzam, że opłaciło się przez ostatni tydzień uważać na to, co jem. Ale kogo próbuję oszukać? Uważam na to, co jem, od sześciu miesięcy. I ćwiczę. I stosuję o wiele za drogi krem pod oczy. Wszystko z myślą o wieczornym przyjęciu.

Leżę przez chwilę, nasłuchując, czy deszcz nie bębni o szyby, tak samo jak w zeszłą sobotę i trzy poprzednie. Ale dochodzą do mnie tylko trele i ćwierkanie ptaków na jabłoni, więc się odprężam. Wreszcie nadszedł dzień, na który tak długo czekałam. I – nie do wiary – nie ma deszczu.

Mocniej naciskam brzuch, wciskając cienką warstwę tłuszczu w linię mięśni. Walczą we mnie sprzeczne emocje. Staram się skupić na ekscytacji i radości, ale nad wszystkimi

uczuciami dominują wyrzuty sumienia – z powodu wydatków na przyjęcie i tego, że pieniądze poszły na mnie, a gdybym poczekała jeszcze parę lat, można by je było przeznaczyć na nas, na dwudziestą piątą rocznicę naszego ślubu. Zasugerowałam takie rozwiązanie Adamowi – a przynajmniej tak mi się wydaje. Nawet jestem pewna, bo pamiętam, że w głębi duszy poczułam ulgę, gdy w ogóle nie chciał wziąć tego pod uwagę.

Niespokojnie opadam na plecy i patrzę w sufit. Czy to naprawdę takie złe, że chcę, aby przyjęcie było tylko na moją cześć? Wygląda na to, że ostatnio mam wobec niego mieszane uczucia. Zawsze go pragnęłam, planowałam je, oszczędzałam na nie pieniądze, ale odetchnę z ulgą, gdy będzie już po nim. Za dużo na ten temat myślałam, nie tylko przez ostatnie pół roku, ale także przez dwadzieścia lat. Najbardziej przeszkadza mi to, że potrzeba urządzenia tego przyjęcia zrodziła się we mnie z powodu rodziców. Gdybym miała taki ślub i wesele, jakie mi obiecywali, nie dostałabym obsesji na punkcie własnego święta.

Nie chcę myśleć o nich w takim dniu, ale co mam zrobić? Nie widziałam ich od przeszło dwudziestu lat. Zawsze zachowywali wobec mnie dystans, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odbyła jakąś ważną rozmowę z ojcem, a do matki zbliżyłam się najbardziej, gdy kupiła czasopisma poświęcone organizacji uroczystości ślubnych; oglądając razem ze mną suknie, torty i kompozycje kwiatowe, opowiadała, z jaką pompą wydadzą mnie za mąż. Kiedy jednak zaszłam w ciążę, niedługo po siedemnastych urodzinach, nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. I wspaniały ślub zamienił się w pośpieszną piętnastominutową ceremonię w miejscowym urzędzie stanu cywilnego, tylko w obecności rodziny Adama i

naszych najlepszych przyjaciół, Jess i Nelsona.

Wtedy wmawiałam sobie, że nie jest dla mnie ważne, czy mam huczne wesele, czy nie. Ale było ważne i wyrzucałam sobie, że tak bardzo przejmuję się jego brakiem. Kilka lat później jedna z matek poznanych w żłobku, do którego chodził Josh, zaprosiła nas na przyjęcie z okazji swoich trzydziestych urodzin. Bawiliśmy się świetnie. Adam i ja byliśmy wtedy zaledwie po dwudziestce i mieliśmy bardzo mało pieniędzy, więc to przyjęcie zrobiło na nas wielkie wrażenie. Ogarnięta nabożnym podziwem, obiecałam sobie, że pewnego dnia ja także będę tak uroczyście obchodzić swoje urodziny.

Kiedy miała się urodzić Marnie i z powodu nieustających nudności nie mogłam spać, stałam oparta o blat w naszej małej kuchni i na odwrocie paragonu liczyłam, ile muszę miesięcznie oszczędzać, żeby urządzić takie przyjęcie jak Chrissie. Już postanowiłam, że wydam je na swoje czterdzieste urodziny, bo wypadają w sobotę. W tamtych czasach nie wyobrażałam sobie, jak to jest mieć czterdziestkę na karku. Ale już mam pojęcie.

Zwracam głowę ku oknu, moją uwagę przykuwa wiatr, który zrywa ostatnie kwiaty z drzewa. Czterdzieści lat. Jak to możliwe, że mam tyle? Trzydziestka stuknęła mi, gdy opiekowałam się dwojgiem małych dzieci, więc ledwie ją odnotowałam. Tym razem przeżywam to mocniej, może dlatego, że jestem na innym etapie życia niż większość moich koleżanek. One jeszcze mają w domu dzieci, podczas gdy Josh i Marnie, on dwudziestodwuletni, ona dziewiętnastoletnia, zaczęli już własne życie. To oznacza, że często czuję się starsza niż w rzeczywistości. Dzięki Bogu, mam Jess; ponieważ Cleo jest w tym samym wieku co Marnie, razem jakoś przebrnęliśmy

przez ich nastoletni okres.

Słyszę zgrzyt otwieranych tylnych drzwi, a potem tupot stóp Adama, kiedy przechodzi przez taras. Znam go na tyle dobrze, że potrafię sobie wyobrazić jego minę, gdy zobaczy, że namiot stoi tak blisko jego szopy. Bardzo się cieszy na przyjęcie, dlatego mam jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu sekretu, który utrzymuję przed nim od sześciu długich tygodni. Poczucie winy się nasila, więc odwracam głowę i wtulam twarz w poduszkę, starając się je zwalczyć. Ale daremnie.

Żeby się czymś zająć, biorę telefon. Chociaż na ekranie widnieje informacja, że jest dopiero ósma siedemnaście, już przysłyły życzenia urodzinowe. Najpierw od Marnie; jej WhatsApp został wysłany kilka sekund po północy i oczami wyobraźni widzę ją, jak siedzi na swoim łóżku w Hongkongu i patrzy na zegar, żeby wcisnąć „Wyślij”, bo wiadomość jest już napisana.

„Najlepszej Mamie na świecie wszystkiego dobrego z okazji urodzin! Ciesz się każdą minutą tego szczególnego dnia. Już nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy, ale to jeszcze kilka tygodni. Strasznie Cię kocham. Marnie xxx PS Będę przez weekend poza zasięgiem, bo chcę spokojnie powtórzyć materiał. Nie martw się, jeśli nie będzie ze mną kontaktu, zadzwonię w niedzielę wieczorem”.

Dalej znajdują się emotikony przedstawiające butelki szampana, torty urodzinowe i serduszka i jak zwykle robi mi się ciepło na sercu. Ale chociaż tęsknię za Marnie, jestem zadowolona, że nie będzie jej tu wieczorem. Źle się z tym czuję, bo powinnam żałować, że nie przyjedzie na przyjęcie, zresztą początkowo żałowałam. Teraz wołałabym, żeby nie

było jej w domu nawet do końca miesiąca.

Początkowo zamierzała wrócić dopiero na koniec sierpnia, po zdaniu egzaminów i objeździe Azji z przyjaciółmi. Potem jednak zmieniła plany i za trzy tygodnie zjawi się tutaj, w Windsorze. Udaję przed każdym, że bardzo się cieszę z jej wcześniejszego przyjazdu, ale czuję jedynie niesmak. Kiedy wróci, wszystko się zmieni i nie będziemy mogli już dłużej żyć sobie przyjemnie jak do tej pory.

Słyszę Adama wchodzącego po schodach i przy każdym jego kroku to, czego mu nie zdradziłam, ciąży mi coraz bardziej. Ale nic mu nie powiem, nie dziś. Zagląda za drzwi i woła: „Wszystkiego najlepszego!”. To do niego takie niepodobne, że zaczynam się śmiać i trochę się rozluźniam.

– Ciii, obudzisz Josha! – szepczę.

– Nie martw się, śpi jak zabity. – Wchodzi do pokoju z dwoma kubkami kawy i Mimi drepczącą za nim. Pochyla się, żeby mnie pocałować, a kotka wskakuje na łóżko i trąca mnie z zazdrości. Uwielbia Adama i wciska się między nas za każdym razem, kiedy siadamy na kanapie, żeby wspólnie obejrzeć film.

– Najlepsze życzenia urodzinowe – powtarza.

– Dziękuję. – Unoszę dłoń do jego policzka i na chwilę zapominam o wszystkim innym, bo ogarnia mnie szczęście. Tak bardzo go kocham.

– Spokojnie, ogolę się – żartuje i odwraca głowę, żeby cmoknąć mnie w rękę.

– Wiem. – Nie znosi się golić i najchętniej chodziłby wyłącznie w dżinsach i T-shirtach, ale od tygodni zapowiada, że dziś wieczorem stanie na wysokości zadania i ubierze się elegancko. – Kawa do łóżka... jak cudownie!

Biorę od niego kubek i przesuwam nogi, żeby mógł usiąść

obok. Gdy materac ugina się pod ciężarem jego ciała, niemal wylewam kawę.

– No i jak się czujesz? – pyta.

– Rozpieszczana – odpowiadam. – Co powiesz na namiot?

– Stoi za blisko mojego warsztatu. – Unosi ciemną brew. –

Jest na miejscu – poprawia się szybko. – Będziesz się śmiała... ale śniło mi się, że odleciał, zabierając ze sobą Marnie.

– Więc dobrze, że jej tu nie ma – kwituję. I od razu czuję się winna.

Adam stawia kubek na podłodze i wyjmuję z tylnej kieszeni kopertę.

– Dla ciebie. – Odbiera ode mnie kawę i stawia obok swojej.

– Dzięki.

Kładzie się na łóżku po swojej stronie i podparty na łokciu, przygląda mi się, gdy otwieram kopertę. Widnieje na niej moje imię, pięknie wydrukowane trójwymiarowymi literami, w różnych odcieniach błękitu – cały Adam. Wyjmuję kartkę ze srebrną liczbą czterdzieści, rozkładam i czytam, co napisał: „Mam nadzieję, że dziś wszystko będzie tak, jak sobie wymarzyłaś, albo jeszcze lepiej. Zaslugujesz na to. Kocham Cię, Adam. PS Razem jesteśmy nie do pobicia”.

Śmieję się z ostatniego zdania, bo zawsze tak mówi, ale zaraz potem do oczu napływają mi łzy. Gdyby tylko wiedział. Powinnam mu była powiedzieć sześć tygodni temu, gdy tylko dowiedziałam się o Marnie, ale tyle powodów przemawiało za tym, żeby tego nie zrobić, słusznych i niesłusznych. Jednak później, już po przyjęciu, nie będę miała żadnej wymówki, aby dłużej to przed nim taić. Ćwiczyłam ten tekst w głowie mnóstwo razy – „Adamie, muszę ci coś powiedzieć” – ale poza to nie

wysłałam, bo jeszcze nie zdecydowałam, czy lepiej wyznać mu prawdę dobijająco powoli, krok po kroku, czy brutalnie wyrzucić ją z siebie. Tak czy owak, będzie zdruzgotany.

– Hej – mówi. Patrzy na mnie z troską.

Szybko mrugam, żeby powstrzymać łzy.

– Nic mi nie jest. Trochę mnie to wszystko przytłacza i tyle.

Wyciąga rękę i zakłada mi za ucho pasmo włosów.

– To zrozumiałe. Tak długo czekałaś na ten dzień. – Przerzywa. – Nigdy nie wiadomo, może zjawią się twoi rodzice – dodaje ostrożnie.

Kręcę głową. Moje emocjonalne rozchwianie przypisał wyęsknionemu pojednaniu z rodzicami. No i dobrze. Nie jest ono głównym powodem, ale częściowym na pewno. Rodzice przeprowadzili się do Norfolk pół roku po tym, jak urodził się Josh, bo jak oświadczył mi ojciec, narobił im wstydu w oczach Kościoła i znajomych i nie mogą dłużej chodzić z podniesioną głową. Kiedy spytałam, czy będę mogła ich odwiedzać, odparł, że tak, ale sama. Nie pojechałam więc do nich; nie tylko nie akceptowali Adama, ale też nie chcieli znać Josha.

Napisałam do nich, gdy na świat przyszła Marnie, zawiadomiłam ich, że mają wnuczkę. Ku mojemu zaskoczeniu ojciec odpowiedział, że chętnie ją zobaczą. Zapytałam pisemnie, czy możemy przyjechać do nich w czwórkę, ale dowiedziałam się, że zaproszenie dotyczy tylko mnie i Marnie – ojciec wyjaśnił, że Marnie jest mile widziana, bo przynajmniej urodziła się ze związku małżeńskiego. I znowu ich nie odwiedziłam.

Od tamtej pory staram się utrzymywać z nimi kontakt,

mimo że mi się nie odwzajemniają, wysyłam im kartki z okazji urodzin i świąt Bożego Narodzenia i zapraszam ich na wszystkie rodzinne uroczystości. Nigdy jednak nie odpisują, no i oczywiście nie przyjeżdżają. Nie spodziewam się więc, że tego wieczoru będzie inaczej.

– Nie przyjadą – odpowiadam smętnie. – Ale to już bez znaczenia. Skończyłam czterdzieści lat. Pora sobie odpuścić.

Adam zwraca głowę w stronę okna.

– Widziałaś, jaka pogoda? – pyta. Wie, że pora zmienić temat.

– No, nie do wiary. – Opadam na poduszki, ogarnięta nowym zmartwieniem. – Obawiam się, czy nie przesadziłam z tą sukienką.

– Dlaczego?

– Jest długa, do ziemi. I kremowa.

– To źle?

– Boję się, że przypomina suknię ślubną.

– Ma falbanki i tak dalej?

– Nie.

– I zamierzasz włożyć do niej welon?

Wybucham śmiechem.

– Nie!

– W takim razie – odpowiada, podnosi rękę i obejmuje mnie – to tylko długa kremowa sukienka.

Spoglądam na niego.

– Jak ty to robisz, że zawsze poprawiasz mi samopoczucie?

– Nadrabiam te wszystkie lata, kiedy cię zaniedbywałem

– odpowiada lekko.

Ujmuję jego dłoń i splatam z nią palce.

– Przestań. Jesteś moim mężem, prawda? Nie odszedłeś.

– Nie... ale w ciągu pierwszych dwóch lat dużo przebywałem w Bristolu, z Nelsonem, zamiast z tobą i Joshem.

– Dopóki nie pojawiła się Marnie i miałeś powód, żeby zostać w domu.

Puszcza moją rękę i gdy widzę na jego twarzy znajomy smutek, chciałabym cofnąć to, co powiedziałam. Przez ostatnie dwadzieścia lat starał się zrekompensować mi swoją nieobecność na samym początku. Ale wciąż cierpi z jej powodu.

– Dostałam od niej przemiłe życzenia – podejmuję, bo gdy jest mowa o Marnie, od razu poprawia mu się humor. – Píše, że być może dziś nie zadzwoni. Chce się uczyć, więc wyjeżdża na weekend gdzieś, gdzie nie ma wi-fi.

– Jak udało nam się spłodzić takie rozsądne dziecko? – żartuje już znowu w dobrym nastroju.

– Nie mam pojęcia.

Uśmiecham się do niego słabo, a on całuje mnie, sądząc, że denerwuję się z powodu przyjęcia.

– Odpręż się. Wszystko pójdzie dobrze. O której przyjedzie po ciebie Kirin?

– Dopiero o jedenastej.

– Więc możesz się jeszcze zrelaksować. – Wstaje z łóżka.

– Wypij kawę, gdy będę pod prysznicem. Kiedy zejdiesz, zrobię ci śniadanie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).